

SZTUKA ODSKOCZNIA DLA TECHNIKI



prof. Andrzej Jajszczyk

Jest profesorem w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i autorem bądź współautorem 12 książek i ponad 300 artykułów naukowych dotyczących sieci telekomunikacyjnych, a także około 100 artykułów na temat nauki i szkolnictwa wyższego. Współtworzył Narodowe Centrum Nauki jako jego pierwszy dyrektor. Jest wiceprzewodniczącym Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (ERC), a także członkiem Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności oraz Academia Europaea. jajszcz@agh.edu.pl

O spotkaniu z historyczną grupą Słowińców, przyjaźni z Andrzejem Wajdą i fascynacją kulturą Japonii opowiada **prof. Andrzej Jajszczyk**.

Czy pana zdaniem istnieje relacja między nauką i sztuką? Czy technika może być dziedziną, która pozwala na tę relację?

ANDRZEJ JAJSZCZYK: Sztuka jest wyrazem kreatywności, wyobraźni albo kombinacji obu. Tym samym technikę możemy uważać za część sztuki, ponieważ jej tworzenie wymaga tych cech. W zawężonym znaczeniu sztukę można uznać za skutek zastosowania umiejętności, charakteryzujący się powstaniem wartości estetycznych. O wielu wymiarach relacji sztuka – technika, a mianowicie o obiekcie techniki jako dziele sztuki, technice jako środku ekspresji w sztuce, technice jako temacie sztuki i technice w dokumentowaniu, udostępnianiu i konserwowaniu obiektów sztuki, pisałem w artykule pt. *Technika a Centrum Manggha*, który ukazał się w sprawozdaniu z działalności Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej za 2006 rok. Wymiary te podsumowano tam następująco: wiele dzieł techniki możemy wprost zakwalifikować jako dzieła sztuki z powodu ich wartości estetycznych. Dotyczy to np. niektórych elementów architektury czy pojazdów. Duża część dzisiejszych produktów jest wynikiem pracy kompetentnych projektantów, dlatego coraz częściej otaczają nas piękne meble, przedmioty elektroniki użytkowej czy inne ładne drobiazgi.

Od zarania ludzkości technika odgrywała znaczącą rolę jako środek ułatwiający tworzenie sztuki. Instrumenty muzyczne zawsze były produktami techniki, począwszy od prymitywnych, jak bębny czy proste instrumenty strunowe, aż po wyrafinowane instrumenty elektroniczne. Trudno sobie wyobrazić wielkie widowiska muzyczne bez mikrofonów, wzmacniaczy, ogromnych kolumn głośnikowych, świateł czy laserów. Technika odgrywała ogromną rolę w rozwoju malarstwa i rzeźby. Wkracza także na tereny zarezerwowane wcześniej przez tradycyjne obrazowanie, które musi konkurować z fotografią czy coraz popularniejszymi instalacjami wideo. Bez techniki nie istniałby film czy animacje komputerowe.

Urządzenia techniczne były od wieków obiektem zainteresowania artystów, gdzie te dziedziny przenikały się wzajemnie. Trudno np. powiedzieć, czy rysunki

machin Leonarda da Vinci były dziełami sztuki, czy też szkicami inżyniera. Tematem prac wielu artystów były i są takie dzieła techniki, jak budynki, mosty czy środki transportu.

Użycie techniki w dokumentowaniu i konserwowaniu dzieł sztuki jest nie do przecenienia. Systemy rzeczywistości wirtualnej pozwalają na masowe i bezpieczne „zwiedzanie” obiektów, które nie mogą być udostępniane bezpośrednio z powodów konserwatorskich, a nawet „odwiedzenie” odtworzonych cyfrowo obiektów, które już nie istnieją. Internet stanowi nieocenione medium, dzięki któremu wytwory artystów docierają do milionów odbiorców.

Skąd u profesora nauk technicznych zainteresowania szeroko pojętą sztuką?

Rodzice, a szczególnie ojciec, oficer lotnictwa, interesowali się architekturą i sztuką. W domu były książki na te tematy, chodziliśmy do muzeów, posyłano mnie na zajęcia ogniska plastycznego. Mocno wpłynęło na mnie poznańskie liceum, popularnie zwane „Marcinkiem”, szczególnie wędrowki i działania w szkolnym kole PTTK i kole fotograficznym. Oboma kołami opiekowała się znakomicie, z głową i sercem, nauczycielka chemii Maria Wallis. Wśród moich kolegów był tam zresztą obecny wiceprezes PAN Roman Słowiński – najzdolniejszy z nas fotografik.

Z oboma kołami wiąże się moja niezwykła przygoda z kulturą ludową. W lecie 1968 roku wyruszyłem wraz z grupą kilkunastu kolegów na obóz rowerowy na tereny zamieszkiwane przez Słowińców, inaczej Kaszubów Nadlebskich, nad jeziora Gardno i Łebsko. W porozumieniu z Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku mieliśmy zbierać informacje i obiekty związane z ich kulturą. A prawdziwych Słowińców została w okolicy już tylko garstka. Ich kultura i język przetrwały setki lat w niemieckim otoczeniu, a zostały prawie całkowicie zniszczone na skutek wojennej i powojennej zawieruchy. To powodowało dużą nieufność tej grupy, szczególnie wśród osób starszych. Utrudniało to prowadzenie badań etnograficznych, a była to już ostatnia chwila, by zarejestrować resztki języka sło-

wińskiego czy zebrać informacje o życiu i zwyczajach tej wymierającej społeczności. Stąd pomysł, by w kontaktach z rdzennymi mieszkańcami skorzystać z pomocy nastolatków. I to zadziało. Miejscowi rybacy, pszczelarze czy rolnicy rozmawiali z nami, niekiedy pozwalali nagrywać swoje wypowiedzi. Zapisywaliśmy też słowa języka słowińskiego, głównie związane z tradycyjnymi miejscowymi zajęciami. Nasi rozmówcy dawali nam niepotrzebne już narzędzia pracy, jak ościenie służące do połowu ryb, szklane pływalki do sieci, drewniano-metalowe łyżwy, których używali zimą na jeziorach, by dotrzeć do miejsc połowu, czy słomiane ule. Przekazaliśmy je do otwartego kilka lat wcześniej Muzeum Wsi Słowińskiej, czyli skansenu we wsi Kluki, będącego oddziałem Muzeum Pomorza Środkowego. Część tych zdobyczy pozwolono nam z sobą zabrać. Użyliśmy ich i licznych robionych przez nas fotografii jako eksponatów dużej wystawy zorganizowanej po wakacjach w holu naszego poznańskiego liceum. To był ostatni moment na uchwycenie tej kultury, bo na początku lat 70. resztki Słowińców wyjechały do Niemiec w ramach akcji łączenia rodzin.

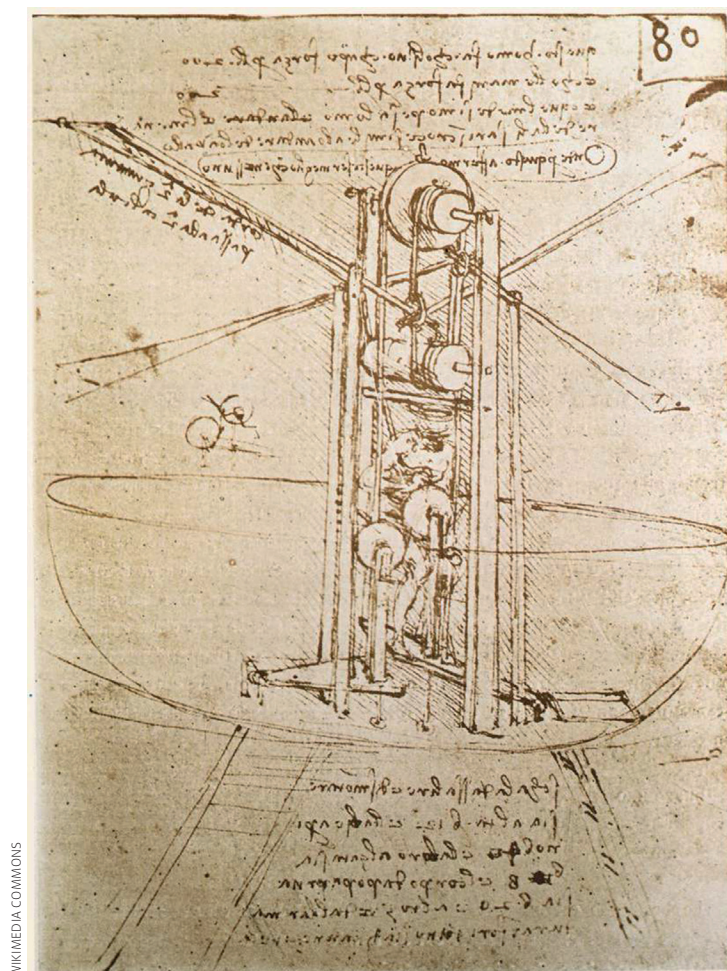
Doświadczenie z Kluk, Smołdzina, Gardny, Smołdzińskiego Lasu czy Izbicy zaowocowały moim zainteresowaniem etnografią. Poważnie się nawet zastanawiałem, czy nie studiować etnografii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Istniała tam wówczas silna grupa badawcza w tej dyscyplinie skupiona wokół prof. Józefa Burszty. Przeważały jednak zainteresowania przedmiotami ścisłymi, stąd rozpoczęcie studiów na Politechnice Poznańskiej.

Duży wpływ na kształtowanie się moich zainteresowań sztuką odegrał mój kolega Janusz Pałubicki. Skończył historię sztuki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, a później stał się znany z działań opozycyjnych z czasów pierwszej Solidarności i stanu wojennego. Wspólnie wędrowaliśmy po mało znanych obiektach Wielkopolski, kościołach, dworach i pałacach, a Janusz dzielił się swoją wiedzą na temat sztuki. Spisywaliśmy aktualne stany budynków i robiliśmy listy cennych elementów, które jeszcze w nich pozostały. Efektem tych wędrowek był stworzony przez Janusza na przełomie lat 60. i 70. społeczny rejestr stanu i wyposażenia niszczących wielkopolskich zabytków.

Teraz wyjazdy prywatne i służbowe pozwalają mi na poznanie wielu wspaniałych dzieł sztuki z różnych regionów świata.

Z czego wynika i co panu daje aktywność w obszarze muzealnictwa, wystawiennictwa i sztuki?

Na pewno odegrały pewną rolę moje zainteresowania sztuką, w tym architekturą i urbanistyką. Po przeprowadzce z Poznania do Krakowa w 1999 roku poznawałem głębiej moją nową małą ojczyznę. Zaowocowało to serią artykułów w lokalnej prasie, w których kry-



WIKIMEDIA COMMONS

tycznie oceniałem niektóre aspekty rozwoju Krakowa. To z kolei spowodowało, że zaczęto mnie zapraszać na różnego rodzaju dyskusje dotyczące stolicy Małopolski, w tym związane ze znajdującymi się tu dziełami sztuki. Mogłem też poznać osoby zajmujące się tym zawodowo. Jako osoba z zewnątrz okazałem się interesującym rozmówcą, nieobciążonym zawodowymi czy personalnymi zależnościami. Tym bardziej, że mogłem podzielić się opiniami na temat wystaw sztuki, przede wszystkim współczesnej, które oglądałem w różnych zakątkach świata. Zaproszono mnie do rady Fundacji Kyoto – Kraków, a później zostałem członkiem jej zarządu. Przez jedną kadencję byłem też członkiem Rady Muzeum przy Muzeum Narodowym w Krakowie, pracując tam z wybitnymi osobami, jak Maria Dzielska, Jan Ostrowski, Stanisław Waltoś czy Franciszek Ziejka. Obecnie mam przyjemność być członkiem Rady Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha” w Krakowie.

Kontakt ze sztuką stanowi dla mnie odskocznik od codziennych problemów. A związki ze światem sztuki, przez udział we wspomnianych radach, dają mi ogromną satysfakcję i ułatwiają ciekawe kontakty z artystami i ze znawcami sztuki. Poza muzeum Manggha i Muzeum Narodowym w Krakowie mam i inne ulubione miejsca, jak Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAP, Międzynarodowe Centrum Kultury czy alternatywną Otwartą Pracownię.

Leonardo da Vinci,
Maszyna latająca,
ok. 1487,
Web Gallery of Art



GRZEGORZ MART MUZEUM SZTUKI I TECHNIKI JAPONSKIEJ „MANGGHA”

Muzeum Sztuki i Techniki
Japońskiej „Manggha”

Zdarza mi się także pisać na temat sztuki. To głównie relacje z wystaw i innych wydarzeń, tworzone z myślą o moich najbliższych i znajomych. Niektóre z nich ukazały się także drukiem. Wszystkie są dostępne na mojej stronie internetowej: www.jajszczyk.pl.

Jak zaczęła się pana przygoda z Mangghą? Czy jest pan miłośnikiem kultury japońskiej?

Najpierw było zainteresowanie sztuką i kulturą Japonii, którą miałem okazję odwiedzić po raz pierwszy w 1990 roku. Prawdę mówiąc, te pierwsze odwiedziny były w niektórych wymiarach rozczarowujące. Spodziewałem się harmonii ludzi, przyrody i architektury, a zobaczyłem brzydkie, betonowe i chaotycznie zabudowane miasta, poczułem tłok i hałas. Ale to tylko część obrazu Japonii. Stopniowo odkrywałem enklawy pięknej, tradycyjnej architektury, w tym ogrodowej, uczyłem się rozumieć tę tak różną od naszej kulturę. Podziwiałem też dzieła współczesnych japońskich architektów, a także rezultaty pracy tamtejszych inżynierów.

Piękny budynek Mangghi w Krakowie, zaprojektowany przez znakomitego Aratę Isozakiego, zobaczyłem po raz pierwszy wkrótce po jego zbudowaniu, gdy w drodze z wędrowek po Tatrach do Poznania zatrzymałem się na kilka godzin w Krakowie. Był mglisty i chłodny dzień. Stojąc pod Wawelem, patrzyłem z podziwem na drugi brzeg Wisły, gdzie majaczył charakterystyczny i piękny kształt budynku Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej ufundowanego przez Andrzeja Wajdę i Krystynę Zachwatowicz-Wajdę. Nie sądziłem wtedy, że za kilka lat związę się z tym miejscem tak mocno.

Istotnym wydarzeniem było też spotkanie przy okazji specjalnego przedstawienia *Hamleta* w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego w krakowskim Teatrze STU. Na zorganizowanym po spektaklu koktajlu dla

artystów i widzów poznałem Andrzeja Wajdę. Rozmawialiśmy o centrum Manggha, Japonii, sztuce. Po kilku kolejnych spotkaniach zaproszono mnie do rady Fundacji Kyoto – Kraków. To właśnie ta fundacja stała za budową budynku, który już wcześniej zrobił na mnie takie wrażenie.

Znalazła się tam kolekcja sztuki Japonii i innych krajów Azji Wschodniej, zgromadzona i подарowana miastu Kraków przez Feliksa „Mangghę” Jasińskiego. Miałem szczęście być przy powstawaniu i innych miejsc w kompleksie Mangghi, jak szkoła języka japońskiego czy Galeria Europa – Daleki Wschód. Związki z muzeum Manggha pozwoliły mi lepiej poznać kulturę Japonii. Taką szansę ma zresztą każdy, kto zechce odwiedzić tutejsze wystawy prezentujące dawną i współczesną sztukę Japonii, a także jej wpływ na artystów z wielu krajów świata, w tym z Polski. To zresztą nie tylko wystawy, lecz także spektakle teatralne, koncerty, warsztaty, wykłady czy kursy tradycyjnej ceremonii parzenia herbaty i ikebany (japońskiej sztuki układania kwiatów – przyp. red.). Te doświadczenia bardzo ułatwiły mi rozumienie kultury Japonii w czasie moich wizyt w Kraju Kwitnącej Wiśni.

W skład rady fundacji wchodzi tak znakomite postacie, jak były prezydent Krakowa i założyciel małopolskiej Solidarności Józef Lassota, dyrektor muzeum Manggha Bogna Dziechciaruk-Maj, świetny architekt Krzysztof Ingarden, muzealniczka i historyczka sztuki Anna Król, znany grafik Ryszard Otręba, historyk filmu, prof. Rafał Syska, wydawca i publicysta Henryk Woźniakowski oraz były prezes Trybunału Konstytucyjnego i rzecznik praw obywatelskich, prof. Andrzej Zoll. Współpraca z tymi osobami jest dla mnie ważnym intelektualnym doświadczeniem. Po jakimś czasie przeszedłem z rady do zarządu fundacji, gdzie pełnię funkcję wiceprzewodniczącego. Pierwszym przewodniczącym był Andrzej Wajda, a po jego śmierci Krystyna Zachwatowicz-Wajda. Wszyscy pracujemy społecznie, wspomagając m.in. uzdolnionych artystycznie uczniów i studentów oraz wspierając działania Muzeum Manggha.

Przyjaźń i długie rozmowy z Andrzejem Wajdą to jedna z najlepszych rzeczy, jakie przytrafiły mi się w życiu. Niezwykle, mimo różnicy pokolenia, są podobieństwa w naszych biografiiach. Obaj jako synowie zawodowych wojskowych spędziliśmy dzieciństwo w Radomiu, w budynku przy ul. Jacka Malczewskiego, w dokładnie tym samym mieszkaniu. Tam Andrzej Wajda, a po latach i moja mama, czekali na swoich ojców – po których ślad urywał się w sowieckim obozie jenieckim dla polskich oficerów w Starobielsku. Teraz wiemy, że obaj zostali zamordowani przez NKWD w Charkowie. W Krakowie mieszkam przy ul. Emaus, tej samej, przy której część okupacji spędził reżyser „Katynia”.

ROZMAWIAŁA DR JUSTYNA ORŁOWSKA